

CYRIL M. KORNBLUTH

TYMI OTO RĘKOMA

Przełożył Sławomir Kędzierski
HTML : SASIC

Halvorsen musiał czekać w kancelarii Kurii dopóki monsignor Ready nie załatwił trzech wcześniejszych interesantów. Był trochę zamroczony z głodu i prawie nie zauważył, że sekretarz prałata przywołuje go skinieniem ręki. Poderwał się na równe nogi, dopiero gdy sekretarz znaczącym gestem otworzył szeroko drzwi do gabinetu monsignora Ready'ego i stanął przy nich, czekając.

Artysta przeszedł przez pokój, przy samych drzwiach przypomniał sobie, że zapomniał o tece z rysunkami, którą oparł o nogę krzesła i wrócił po nią, czerwieniąc się z zażenowania. Sekretarz cierpliwie czekał.

- Dziękuję - mruknął Halvorsen w chwili, gdy zamykały się za nim drzwi. W zachowaniu prałata było coś dziwnego.

- Przyniosłem projekty Stacji, ojcze - powiedział Halvorsen, rozkładając tekę na biurku.

- Mam dla ciebie złą wiadomość, Roaldzie - odparł monsignor. - Zdaję sobie sprawę, jak bardzo liczyłeś na zamówienie...

- Czy otrzymał je ktoś inny? - zapytał słabym głosem artysta i oparł się o biurko. - Odniosłem wrażenie, że jego eminencja podjął ostateczną decyzję, że właśnie ja mam...

- Nie o to chodzi - odparł monsignor. - Święta Kongregacja Kultu Bożego ogłosiła w tym tygodniu swoją decyzję w sprawie posągów i obrazów. Ustalono, że biskup ma prawo udzielić zezwolenia na stosowanie stereopantografów w granicach swojej diecezji. A jego eminencja...

- Przecież SPG to obrzydliwe imitacje - zaprotestował Halvorsen. - Są równie prawdziwe jak sztuczne oko. Nie mają faktury. Nie mają wnętrza. Przecież pan zdaje sobie z tego sprawę, ojcze! - stwierdził oskarżycielskim tonem.

- Przykro mi, Roaldzie - odparł monsignor. - Twoje prace są lepsze od stereopantografów, przynajmniej takie jest moje zdanie. Są jednak jeszcze inne względy.

- Pieniądze! - warknął artysta.

- Owszem, pieniądze - przyznał prałat - Jego eminencja pragnie jeszcze przed śmiercią ujrzeć zakończenie budowy Uniwersytetu Świętego Ksawerego. Czy uważasz, że to niewłaściwe, Roaldzie? A oprócz tego mamy nasze szkoły, nasze zakłady dobroczynne, naszą misję na Wenus. Zastosowanie SPG przyniesie poważne oszczędności przy zakupach i konserwacji obrazów kultu. Nawet gdybym mógł, nie chciałbym w sprawie wewnątrz diecezjalnej, jak jest użycie SPG, zajmować innego stanowiska niż jego eminencja.

Oczy prałata spoczęły na szczegółowych projektach Stacji Drogi Krzyżowej i nie mogły się od nich oderwać.

- Twoja Święta Weronika, synu - powiedział z roztargnieniem. - Przepiękna.

Przypomina mi jednego z tych fraszobliwych Świętych Caravaggio. Bardzo bym pragnął widzieć ją w brzośnie.

- Ja również - odparł Halvorsen ochryplym głosem. - Proszę zatrzymać te rysunki,

ojcze. - Ruszył w stronę drzwi.

- Ależ nie mogę...

- Wszystko w porządku. Artysta minął, patrząc niewidzącym wzrokiem, sekretarza wyszedł z kurii na zalaną wiosennym słońcem Piłtą Aleję. Ready cieszy się tymi rysunkami, ale jest mu wstyd i żałuje Halvorsena. Był zadowolony, że nie musi już nieść ciężkiej teki z rysunkami. Ostatnio wszystko było ciężkie - dłuta, młotek, drewniana paleta. Może prałat prześle mu coś, udając, iż jest to jakiś zwrot kosztów, albo zaliczka. Przecież dawniej tak robił. Halvorsen szedł machinalnie po Piłtej Alei. Nie, nie będzie już więcej zaliczek. Ostatnie Lródełko stałego zarobku wyschło pod wpływem komunikatu w "Osservatore Romano". Kołciół dzięki swemu konserwatyzmowi odgrywał odwieczną rolę mecenasa sztuki tak długo, jak mógł.

Gdy cała Europa pisała na cudownym, nowoczesnym pergaminie, Kołciół stosował stary, dobry papirus. Gdy cała Europa pisała no wspaniałym, nowoczesnym popierze, Kołciół używał starego, dobrego pergaminu. Gdy wszyscy architekci, komitety budowy pomników, zleciodawcy rozmaitych popiersi popierali stereopantografy, Kołciół uznawał jedynie start, dobrą i kosztowną rzeźbę. Ale to się już skończyło.

Mijał właśnie salon SPG, w którym pracował jeden z jego uczniów. Ten, który chodził na komplety we wtorek wieczorem. Jeden z niewielu mężczyzn uczęszczających na te zajęcia. Zazwyczaj były to leniwe, humorzaste i łatwo wpadające w złość dziewczyny. Halvorsen, dziwiąc się sobie, wszedł do salonu mijając asteniczne, na wpół nagie SPG, na których widok dostał gęsiej skórki. Obrzydlistwo! - pomyślał. - Jak mogł...

- W czym mogę..., halo Roaldzie. Cóż cię tu sprowadza? Nagle przypomniał sobie.

-

Czy mógłbyś mi dać małą zaliczkę na poczet przyszłego miesiąca, Lewis? Jestem bez grosza. - Rozejrzał się nerwowo po tym gabinecie okropności, starając się nie dostrzegać protekcyjnej miny swego rozmówcy.

- Myślę, że tak, Roaldzie. Czy dziesięć dolarów wystarczy? To wyrówna nasze rachunki do dwudziestego piątego, prawda?

- Tak, oczywiście, jasne - odpowiadał, dając się wbrew swej woli prowadzić po tym pomieszczeniu.

Wiem, że nie cenisz SPG, ale obecnie jest spokojnie i może zobaczysz, jak pracujemy. Nie twierdzę, że SPG jest Sztuką przez duże S, ale musisz mi przyznać, że jest to jakaś forma sztuki, coś, co się ludziom może spodobać i co kosztuje tyle, na ile ich stać. O, tutaj ich sadzamy. A potem wysuwamy czujniki tak, by dotknęły punktów porównawczych na ich twarzy. Wiesz, co to takiego?

- Wiem - usłyszał swój drewniany głos. - Egipcjscy rzeźbiarze stosowali je przy wykonywaniu posągów faraonów.

- Tak? Nie wiedziałem o tym. Nic nowego pod słońcem, co? - Ale to jest sercem SPG. - Młodzieniec z dumą otworzył drzwiczki w ścianie kabiny SPG. Na Halvorsena mrugnęły posępnie lampy elektroniczne.

- Estetikon? - zapytał obojętnym tonem. Przychodziło mu to z trudnościami, ale wiedział, że okazywanie kipińcej w nim złości, kierowanie jej przeciwko temu bezdusznemu skupisku obwodów, które mogł obliczyć perspektywę, oceniać i korygować obraz tak, by uzyskać żądany efekt - i tym samym pozbawiają pracy artystę, byłoby absurdem.

- Tak. Obiektywy rejestrują szesnacie sylwetek, potem nastawiamy estetikon na taki typ, jaki potrzebujemy: pełen wdzięku, surowy, seksy, uduchowiony, myślicy, albo kombinacje. Wydobywa poszczególne krzywe to z jednej sylwetki, to z drugiej, dopasowuje je do założeń, czasami, jeżeli trzeba, w pewnym stopniu je zniekształca i w efekcie mamy portret zarejestrowany w pamięci maszyny i gotowy do odtworzenia. Nastawia się wybrany stopień powiększenia lub zmniejszenia i włącza. Jeżeli masz ochotę, możesz zobaczyć - dzisiaj będziemy reprodukować. Mówię ci, to fascynujący widok. Po prostu wlewasz zimny roztwór plastiku, dysze natryskują rdzeń, a potem zaczynają po nim pełznąć i modelować szczegóły - tu

kropka, tam wężyk i wszystko zaczyna nabierać kształtu.

- Robimy tu przede wszystkim popiersia, to taka specjalność Alei, ale Wilgus, nasz kierownik pracował w salonie monumentów w Brooklynie. Robił ten gigantyczny pomnik wojenny na East River Drive. Na modelkę do centralnej postaci wynajął Gardę Bouchette, dziewczynę z telewizji: Człowieku, co to była za postać! Powiedział mi, że nastawił estetikon na trzy czwarte seksy i jedno czwarta uduchowiona. A tu mamy coś ciekawego - statuetka stojącego bankiera Orina Ryesona. Zamówił dwanaście sztuk. Statuetki dobrze idą. Dziewczyny je lubią, bo wspaniale ukazują ich kształty. Zdziwiłby się, gdyby zobaczył jakich póź

czasem próbują... Halvorsenowi udało się w jakiś sposób odzepić i z dziesięcioma dolarami w kieszeni przeszedł na Szósta Aleję, gdzie wreszcie usiadł ciężko w jakiejś taniej restauracji. Wypił kawę i zdrzemnął się trochę. Drgnął nerwowo, gdy po chwili obudził go hałas po drugiej stronie ulicy. Budowano dom. Przez jakiś czas obserwował, jak z wielkich maszyn leje się masa, która zastygając formuje ściany i podłogi, jak robotnicy przemykają tędy i owędy na swych maleńkich rydwanach, by nie zsiadając z ich siodełek zaspawać płytę ściany, namalować przewodzącym prąd tuszem obwód elektryczny, albo pokryć plastikowym tynkiem ścianę z założonymi już przewodami.

Halvorsen poczuł przypływ energii. Kupił gazetę w automacie stojącym przy drzwiach restauracji, wziął jeszcze jedną filiżankę kawy i zaczął czytać rubrykę "Pracownicy poszukiwani".

Zręcznie zredagowane ogłoszenia szkół zawodowych namawiały go, by został wykwalifikowanym pracownikiem budowanym i zarabiał wielką forszę. "Zostań operatorem maszyny zakładającej instalacje wodnokanalizacyjne". "Naucz się obsługiwać maszynę, która układa przewody elektryczne". "Zostań kierownikiem serwoociągów". "Zostań operatorem układaczki tarcicy". "Naucz się obsługi maszyny wylewowej.

Rób wielką forszę!

Ogarnęło go coś w rodzaju popłochu. Podbiegł do budki telefonicznej i wykręcił numer w Passaic. Rozległo się dzyń-dzyń -dzyń sygnału i choć zdawał sobie sprawę, że nic nie usłyszy, zanim słuchawka nie zostanie podniesiona, natężył słuch, by pochwycić odgłos zbliżających się do telefonu niepewnych kroków starego Krehbeila.

Dzyń-dzyń-dzyń. - Hallo? -dobięło go starcze mruknięcie i na małym ekranie ukazała się twarz Krehbeila. - O, to pan, panie Halvorsen. Czym mogę służyć Halvorsen nie mógł wydobyć głosu. Przecież nie mógł tak po prostu powiedzieć: "Chciałbym tylko zobaczyć, czy pan jeszcze istnieje. Bałem się, że już pana nie ma." Przełknął ślinę i zaczął improwizować:

- Hallo panie Krehbeil. Ja w sprawie balustrady schodów w moim domu. Zauważyłem, że się chwieje. Czy mógłby pan kiedyś wpadnąć do mnie i ją umocować?

Krehbeil spoglądał nań podejrzliwie z ekranu.

- Mógłbym się tym zająć -odparł wolno. - Nie mam obecnie zbyt wiele pracy. Ale przecież jest pan równie dobrym cieplakiem jak ja, panie Halvorsen i szczerze mówiąc nie jest pan punktualny z płaceniem. A poza tym wolę zajmować się meblarstwem. Nie Jestem już młody i nie mam już siły łączyć po drabinach. Jeżeli nie znajdzie pan kogoś innego, zrobię to, ale najpierw - będę musiał dostać od pana trochę pieniędzy na materiał. Niełatwo jest teraz zdobyć dobre drewno.

- Dobrze - powiedział Halvorsen. - Dziękuję panu, panie Krehbeil. Zadzwoń do pana, jeżeli nie uda mi się znaleźć kogoś innego.

Odwiesił słuchawkę. Wrócił do swego stolika i gazety. Czuł jak twarz pali go ze złości na upór starego i własny, idiotyczny popłoch. Krehbeil nie zdaje sobie sprawy, że siedzą obaj w tej samej, dziurawej łódce. Krehbeil, który przez miesiące nie zdobył żadnego zamówienia, wciąż w swej starczej dumie uważa, że jest mistrzem ciesielskim i meblarskim, który wszędzie da sobie radę ze swymi umiejętnościami i narzędziami i który może patrzeć z góry na tak podejrzanego człowieka, jak artysta - nawet, jeżeli jest to artysta, który na ciesielstwie

zna się równie dobrze jak on.

Labuerre zmusił Halvorsena do nauczenia się ciesielstwa i oczywiście miał słuszną rację. Dzięki temu mógł sam zbudować rusztowanie, z którego można swobodnie rzeźbić wyższe partie bez obawy, że runie i połamie rzeźbiłcemu nogi. Mógł zbudować podstawę, na której kamień stał dobrze, nie trząsł się i nie dygotał przy każdym uderzeniu dłuta. Mógł zmontować konstrukcję, na której potem gips dobrze się trzymał.

Ale w ogłoszeniach "Pracownicy poszukiwani" nikt nie poszukiwał specjalistów do budowy rusztowań, pomostów czy konstrukcji. Fabryki potrzebowały operatorów, personelu do obsługi maszyn, które produkowały i montowały same.

General Vegetables, wysłały grupę werbunkowców, by zdobyć pracowników rolnych - operatorów i konserwatorów sprzętu żniwnego; parę wakansów dla doświadczonych operatorów maszyn uszczelniających zbiorniki. W rubryce "Praca biurowa" wiele ofert dla specjalistów obsługi komputerów, dziewczyn, które umieją posługiwać się IBM Korespo., spec. biegła znajomość korespondencji ds. zbytu i inkasa, dla pracowników obsługi i remontów maszyn biurowych. Drukarnia poszukiwała operatora estetikonu do projektowania układu nagłówek, papierów firmowych itp. Przedsiębiorstwo wysyłkowe poszukiwało artysty, a nie kierownika sprzedaży, który potrafiłby swe pomysły przedstawiać estetikonowi do oceny i korekty w postaci rysunków.

Halvorsen ze znużeniem przekartkował dziennik do końca. Zdawał sobie sprawę, że nie zdobędzie pracy, a jeżeli nawet, to się w niej nie utrzyma. Zdawał sobie sprawę, że to straszne - powiedzieć sobie, że może zdechnąć z głodu dlatego, że nudzi go wszystko, co nie jest sztuką. Tak jednak było.

To zdarzało się dość często w przeszłości - artyści doświadczali straszliwej nędzy nie dlatego, że jak sądzą ludzie całkowicie poświęcali się sztuce, ale ponieważ nic poza sztuką ich nie interesowało. Gdyby można było wypowiedzieć jakieś potężne, dźwięczne zaklęcie, by usunęło to uczucie bolesnej, natrętnej pustki, które ogarniało go gdy tylko próbował zerwać ze sztuką. Ale takiego zaklęcia nie było.

Pomyślał, że pewnie mógłby rozpoznać, które zdjęcia w gazecie były korygowane przez estetikona.

Zdjęcie Jink Bitsy, gwiazdy w powtórce filmu "Piotruś Pan". Jej uszy poprawiono na zdjęciu tak, by nie były spiczaste, ale ciut, ciut zastrzone ku górze, górny wargę nieco przedłużono, nosk zrobiono trochę zadarty i wyraźnie skrzywiony, jej piegi były jeszcze bardziej sympatyczne, brwi niewinnie uniesione ku górze, a jej dolna warga i oczy były wyraźnie pornograficzne.

Inne zdjęcie, najwyraźniej nie korygowane, przedstawiało statek z Wenus, lądujący na La Guardia i uśmiechających się, przeciętnie wyglądających astronautów. Podpis brzmiał - "Austin Malone i jego załoga uśmiechają się z ulgą po szczęśliwym lądowaniu". Malone stwierdził, że wenusjańskie kolonie potrzebują ludzi i maszyn. Patrz relacja na str. 2.

Halvorsen ze złości cisnął gazetę pod stół i wyszedł. Cóż go obchodzi podróże kosmiczne? Wakacje na Marsie i ekspedycje na Wenus były częścią tego, świata, który tak straszliwie zmniejszył jego możliwości utrzymania się przy życiu.

Dojechał metrem do Possaic, a potem długo szedł od dawna nieruchomym ruchomym chodnikiem do swej pracowni - chyba jedyne zamieszkałego budynku w slumsach koło nieczynnego, zżeranego rdzi dworca towarowego. -

Wywieszka, która dawniej głosiła "F. Labuerre, rzeźbiarz - portrety i projekty architektoniczne", obecnie informowała "Roald Halvorsen, lekcje sztuk pięknych - opłaty umiarkowane". Znajdowała się na brudnym, piętrowym budynku z witrynami sklepów, na której Roald wystawił parę szkiców węglem i olejnych martwych natur wykonanych przez jego uczniów. Mieszkał na górze, zajęcia prowadził na parterze, od frontu i pracował również na parterze - za brudnymi, sięgającymi sufitu draperiami.

Gdy wchodził, spostrzegł, że znów zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Zatrzasnął je ze złości i usłyszał, jak ktoś zawołał zza zasłon. - Kto tam?

- Halvorsen - wrzasnął, ogarnięty nagłą wściekłością. - Mieszkam tu. To moja własność. Proszę stamtąd wyjść. O co chodzi?

Ktoś zaczął rozgarniać draperie i po chwili, unikając zetknięcia z brudnym materiałem, przecisnęła się między nimi dziewczyna.

- Pańskie drzwi były otwarte - odparła zdecydowanym tonem - a to przecież jest sklep. Znajduję się tu zaledwie parę minut. Przyszedłam zapytać o lekcje, ale skoro jest pan w tak złym humorze, to nie sadzę, by mnie jeszcze interesowały. Uczennica. Uczniów nie powinno się obrażać, zwłaszcza obecnie.

- Ogromnie pani przepraszam - powiedział. - Miałem bardzo męczący dzień w mieście. - (A teraz spróbuj ją rozczulić.) -. nie mam zamiaru opowiadać każdej napotkanej osobie o mojej straszliwej tragedii, ale pani się przyznam - straciłem zamówienie. Rozumie mnie pani? Tak właśnie straciłem. Każdy więc, kto zbłądzi do mej obskurnej lepiarki będzie simpatico. Czy zechce pani usiąść? Nie, nie tutaj - niech pani sprawi przyjemność artyście i usiądzie o, tam. Ciepłe tło tej martwej natury podkreśli pani kolorystę, bardzo interesujący kolorystę. Czy ktoś już pani malował? Ma pani bardzo ciekawą twarz. Chętnie bym pani kiedyś sportretował... ale wspomniała pani o lekcjach.

- We wtorki wieczorem mamy komplety rysunku - na zmianę modele męskie i kobiece. Tu muszę być bardzo stanowczy i prosić pani, o zapisanie się na cały kurs - dwanaście lekcji za sześćdziesiąt dolarów. To na honorarium modeli - są bardzo wygórowane. W sobotnie popołudnia mamy komplety martwej natury - dla początkujących w malarstwie olejnym. Kosztują tylko dwa dolary za lekcję, ale może pani zapłacić z góry dziesięć dolarów za całość i zaoszczędzić dwa. Udzielam również lekcji pojedynczo - szczególnie utalentowanym uczniom.

Tu ceny były do ustalenia - ile się uda. Od roku nie miał już pojedynczych uczniów, a i ta ostatnia wzięła tylko sześć lekcji po pięć dolarów za godzinę.

- Matruwa natura - wygląda ciekawie - powiedziała dziewczyna unosząc głowę z zakłopotaniem. Wszyscy tak robili, gdy im to recytował. Ciekawa głowa pięknie osadzona. Zwarte, jeszcze nie zdeformowane mięśnie. - Widziałam tam parę ciekawych rzeczy. Czy to pańskie prace?

Wstała, najwyraźniej oczekując, że zaprosi ją do pracowni. Miała charakterystyczną sylwetkę, o długich liniach, drobnych piersiach, pełna młodzieńczego wdzięku - to, co tak uwielbiali prerafaelici.

- Cóż ... - odparł Halvorsen. Wiadomie dawał do zrozumienia, że przyjmuje tę propozycję z niechęcią, po chwili jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen zaufania. - Pani zrozumie - stwierdził zdecydowanym tonem i odsunął na bok zasłonę.

- Jakież to dziwne miejsce! - błędziła po pracowni, oglądając beczki z gipsem, gliną, plasteliną, półki z narzędziami, podesty, kamień, dłuta, palenisko, piec do wypalania, tarcice, stół do szklwienia.

- To mi się podoba - oznajmiła stanowczo, biorąc do ręki półmetrową figurkę Wenus, która wykonał parę lat temu, gdy jeszcze uczył się u Labuerre'a. - Ile kosztuje?

Jeżeli powie jej szczerze, pewnie się przestraszy, a przecież nie było cienia szansy, że ją kupi. - Rzadko wystawiam swoje rzeczy na sprzedaż - powiedział lekkim tonem. - To tylko takie małe studium. Obecnie pracuję tylko na zamówienie.

Jej spojrzenie przebiegło po obskurnym pokoju. Sprawiało to wrażenie; iż jej wzrok rejestruje nie tylko odpadający tynk i spaczona podłoga, ale widzi również porzucone slumsy za jego ścianami. Dostrzegł rozbawienie w jej oczach.

Uważa, że nie jestem wobec niej szczerzy. Uważa, że to śmieczne. Dobrze, będę więc szczerzy. - Sześćset dolarów - oznajmił matowym głosem.

Dziewczyna stuknęła figurką odstawiając ją na miejsce i zapytała, na wpół rozbawiona, a na wpół zirytowana. - Nie pojmuję tego. To przecież więcej niż moja miesięczna pensja. Mogę dostać równie ładną statuetkę SPG za dziesięć dolarów. Za kogo, wy, artyści, się uważacie?

Halvorsen zastanawiał się, co właściwie powinien jej odpowiedzieć.

Operator SPG przyucza się tydzień, ja uczę się całe życie.

Operator SPG sporządza mechaniczną kopię postaci ludzkiej wykonaną na podstawie formuły opracowaną matematycznie na podstawie psychotestów wzorcowych egzemplarzy populacyjnych. Ja jestem w pełni odpowiedzialny za moją pracę: jest to moja praca, choć wykorzystałem w niej wszystko, co uznałem za użyteczne z dorobku Egiptu, Grecji, Rzymu, średniowiecza, Odrodzenia, stylu królowej Anny, Romantyzmu, Modernizmu.

Operator SPG pracuje w miękkim, jednorodnym plastiku. Ja pracuję w brzoźnie, który jest materiałem bardziej skomplikowanym niż się pani zdaje, trzeba go odlewać i kłapać w kwasie, by stopniowo, powoli, przez wiele lat nabierał tego bogatego i subtelnego kolorytu.

Operator SPG nie jest w stanie wykonać Fontanny Orfeusza...

Wymamrotał - Orfeusz - i upadł jak długi.

Halvorsen obudził się na piętrze, w swoim łóżku. Czuł mrowienie w palcach ręki i nóg, umysł miał bardzo jasny. Dziewczyna i mężczyzna, niewłaściwie lekarz, przypatrywali mu się uważnie.

- Wygląda na to, że nie należy pan do żadnego Planu, panie Halvorsen - stwierdził lekarz poirytowanym głosem. - Wcale nie mam pana karty. Ani Czerwonej, ani Niebieskiej, ani Zielonej, ani Brzoźowej.

- Byłem w Zielonym Planie, ale nie przedłużyłem - odparł artysta usprawiedliwiającym się tonem.

- No i widzi pan, co się stało? - Niech pan przestanie na niego gderać - wtręciła się dziewczyna. - Zapłacę pańskie honorarium.

- Powinno przejść przez Plan - niepokoił się lekarz.

- Nikomu nie powiemy - obiecała dziewczyna. - Proszę, oto pięć dolarów. Ale niech już pan nie zrzędzi.

- Niedożywienie - oznajmił lekarz. - Normalnie wysłałbym go do szpitala, ale nie mam pojęcia jak można by to zrobić. Przecież w Zielonym Planie go nie ma. Wie pani co? Wezmę te pieniądze i zostawię mu trochę witamin. Tego właściwie mu potrzeba - witamin. I dobrego odżywienia.

- Dopilnuję, żeby jadł - stwierdziła dziewczyna. Lekarz wyszedł.

- Jak dawno jadł pan cokolwiek? - zapytała Halvorsena.

- Piłem dzień kawę - odparł, usiłując sobie przypomnieć. - Pracowałem nad zamówionymi projektami i wszystko speliło na niczym. Mówiłem o tym. To był dla mnie wstrząs.

- Nazywam się Lucretia Grumman - powiedziała i wyszła z pokoju.

Drzemał aż do chwili, w której wróciła z całym naręczem zakupów.

- Trudno tu coś załatwić - oznajmiła z wyrzutem.

- To była pracownia Labuerre'a - odparł wyzywająco. - Przekazał mi ją, umierając.

Wtedy to miejsce nie było jeszcze tak zrujnowane. Uczyłem się u niego, to był jeden z ostatnich.. Miał takie swoje powiedzonko... "tak naprawdę - mówił - nie chodzi im wcale o moje dzieła, ale byłoby im wstyd, gdyby dali mi zdechnąć z głodu". Ostrzegał mnie, że nie będzie im wstyd, jeżeli mnie dadzą zdechnąć z głodu, ale ja nalegałem i przyjął mnie.

Halvorsen wypił trochę mleka i zjadł nieco chleba. Pomyślał o reszcie, którą została mu z tych dziesięciu dolarów i postanowił, że nie wspomni o tych pieniądzach. Przypomniał sobie jednak, że lekarz przeglądał jego kieszenie.

- Mogę pani zwrócić za zakupy - powiedział. - To bardzo ładnie z pani strony, ale nie chciałbym, żeby pani myślała, że jestem bez grosza. Po prostu byłem zbyt zażyty, by myśleć o sobie.

- Oczywiście - odparła dziewczyna. - Ale możemy uznać to za zadatek. Chcę się zapisać na parę kompletów.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Czy się panu nie naprzykrzam? - spytała. - Zanim pan zemdleł, powiedział pan coś dziwnego... "Orfeusz".

- Rzeczywiście to powiedziałem? Musiałem mieć na myśli dzieło Millesa - Fontannę Orfeusza w Kopenhadze. Widziałem jej fotografię, ale nigdy tam nie byłem.

- W Niemczech? Ale przecież z Niemiec nic nie zostało.

- Kopenhaga jest w Danii. Z Danii zostało dość dużo. Ucierpiał tylko peryferie. Dania jest silnie napromieniowana, ale wciąż istnieje.

- Ja również chcę podróżować - powiedziała. - Pracuję w La Guardia, ale nigdy jeszcze nie byłam tam w górze za wyjątkiem wycieczki na orbitę. Chciałabym pojechać na wakacje na Marsa. Dajcie nam premię w woucherach podróżnych. To musi być wspaniałe, tańczyć przy niskiej sile ciążenia.

Kosmoport? W górze? Niska siła ciążenia? To były określenia, które należało do pogardzanego przezeń elektronicznego świata stereopantografów, świata, w którym nie było dla niego miejsca.

- To musi być ciekawe - stwierdził, przykrywając oczy, by ukryć odrazę.

- Ja chyba pana męczę. Teraz pójdę sobie, ale we wtorek wieczór przyjdę na lekcję. O której mam przyjść i co mam z sobą przynieść?

- O ósmej. Węgiel do rysowania... sprzedam pani parę kawałków i papier. Proszę przynieść tylko fartuch.

- Dobrze. I chciałabym zapisać się również na komplety malarstwa olejnego. Pragnęłabym przyprowadzić parę znajomych osób, żeby zobaczyły pańskie prace. Jestem pewna, że coś się im z pańskich dzieł spodoba. Może Austinowi Malone, który przyleciał z Wenus. To mój szczególny przyjaciel.

- Lucretio - powiedział. - A może niektórzy nazywają panią Lucy?

- Lucy.

- Czy zechce przyjść pani tę statuetkę, która się pani podobała? Zamiast podziękowań?

- Nie mogę tego przyjąć!

- Bardzo proszę. Będę się czuł o wiele lepiej, jeżeli pani ją przyjmie. Naprawdę.

Skinęła gwałtownie głowę, na jej twarzy pojawił się rumieniec. Prawie wybiegła z pokoju.

Dlaczego to zrobiłem? - zadawał sobie pytanie. Miał nadzieję, że zrobił to dlatego, że bardzo polubił Lucy Grumman. Miał nadzieję, że nie zainwestował z zimną krwią rzeźby, której i tak nigdy by nie sprzedał tylko po to, by dziewczyna przychodziła tu z opłatami za lekcje i dalszymi zakupami.

Przyszła we wtorek, pół godziny przed innymi i przyniosła fartuch. W miarę, gdy nadchodziły pozostałe uczennice przedstawiał ją oficjalnie - mniej więcej tuzinowi znużonych, młodych kobiet, które, jak podejrzewał, szalenie chwaliły się swymi lekcjami rysunku przed znajomymi, ale na zajęciach korzystały z każdego pretekstu, by nie szkicować.

Nie odważył się poświęcić Lucy choć trochę więcej zainteresowania. W klasie wytworzyły się maleńkie, ale zjadłe klikę. Halvorsen zdawał sobie sprawę, że uczennice między sobą wymierzają go i jego sposób postępowania, ale mimo to były, o dziwo, wściekle zazdrosne o swe starszeństwo i prawa do specjalnych względów.

Zajęcia, jak zwykle, były męczarnią. Model, obrotowy muskulatura młody ciężarowiec, który występował również w atelier fotograficznych, był wyjątkowo głupi i zaciekle dyskutował na temat każdej, dziesięciominutowej pozy. Dwie dziewczyny omal nie wydrapały sobie oczu kłócąc się o prawo do ulubionego miejsca, a trzecia odkryła w minionym tygodniu kubistyczny okres w twórczości Picassa i oznajmiła z dumą, że nie czuła perspektywy.

Wreszcie te dwie, ciągnące się w nieskończoność godziny dobiegły końca. Zrzędzeniem zmusił je do posprzątania - to zresztą nie było tak kłopotliwe, jak po sobotnich olejach - i stanął w otwartych drzwiach. Gdyby tego nie zrobił, mogłyby siedzieć tak przez całą noc plotkując o nieobecnych uczniach lub warcząc na siebie ponuro. Jednakże jego przemyślny plan spalił na panewce. Kiedy uczennice wychodziły, przed domem zatrzymał się wielki, elegancki samochód.

- To Austin Malone - oświadczyła Lucy. - Przyjechał po mnie, a przy okazji chciał zobaczyć pańskie prace.

Dla jego uczennic był to znakomity pretekst.

- Austin Malone? No, no!

- Lucy, kochanie. Tak bardzo pragnęłabym poznać prawdziwego kosmonautę!

- Roaldzie, mój drogi, czy masz coś przeciwko temu, jeżeli zostaną jeszcze chwile?

- Nie mam zamiaru tracić takiej okazji i nie dbam o to, czy masz coś przeciwko temu, czy nie, drogi Roaldzie.

Malone był postacią istotnie sprawiającą wrażenie. Wyglądał tak, pomyślał Halvorsen, jakby go przepuścili przez estetikon nastawiony na "zdecydowany" i "krzepki". Lucy przedstawiła mu wszystkich, ale astronauta nie dał się złapać w sidła i sprowokować do rozmowy.

Czystym, wyraźnym głosem zwrócił się do Halvorsena. - Nie chcę zabierać panu zbyt wiele czasu. Lucy mówiła mi, że ma pan trochę rzeczy na sprzedaż. Czy można je gdzieś w spokoju obejrzeć?

Uczennice wyszły, ponure.

- Tam, z tyłu - odparł artysta.

Wprowadził dziewczynę i Malone'a za zasłonę. Astronauta powoli obszedł całą pracownię dookoła. Sprawiał wrażenie, że nie chce, by przeszkadzano mu pytaniami.

Wreszcie siadł i oznajmił. - Nie wiem, co o tym myśleć, Halvorsen. To miejsce mnie oszalał. Czy wie pan, że to średniowieczne?

Ludzie, którym nigdy nie przyjdzie na myśl Chartres i Mont St. Michael zazwyczaj nazywają to średniowieczną - pomyślał Halvorsen. - Czy ma pan na myśli technologię? - spytał. - Jeżeli tak, to nie zgadzam się z panem. Mój gips, moje farby są lepsze, metal również - to znaczy, metal narzędzi, nie odlewów.

- Miałem na myśli to, że pracuje pan ręcznie - powiedział astronauta. - Że w dzisiejszych czasach pracuje pan ręcznie.

Artysta wzruszył ramionami.

- Byli kiedyś ludzie zwariowani na punkcie techniki kotlarskiej, białej mechaniki precyzyjnej - przyznał. - Zrobili kilka ciekawych rzeczy, ale to nie wyglądało zbyt dobrze. Czy coś pana u mnie zainteresowało?

- Podobają mi się te delfiny - rzekł astronauta, wskazując na terakotowa płaskorzeźbę na ścianie.

Zamówił ją pewien architekt, ale ostatecznie zrezygnował, gdy koszty budowy domu przekroczyły kosztorys i zmusiły go do oszczędności.

- Będzie kapitalnie wyglądać nad kominkiem w moim miejskim mieszkaniu. Podobają ci się, Lucy?

- Uważam, że są piękne - odpowiedziała. - Roald zauważył, jak astronauta zeszytniał usiłując nie odwrócić się i nie popatrzeć na nią. Kochał ją i był zazdrosny.

Roald opowiedział historię delfinów i rzekł w końcu:

- Cena, którą architekt uznał za zbyt wysoka, wynosiła trzysta sześćdziesiąt dolarów.

- Nie wygląda na wygórowaną - mruknął Malone - jeżeli wysoko ceni pan natchnienie.

- Nie mówię o natchnieniu - odparł Halvorsen. - Ale kiedy to wypalałem, nie spałem przez dwie doby dorzucając węgiel i sprawdzając, czy ciąg jest właściwy. Astronauta spojrział na niego z pogardą. - Biorę to - stwierdził. - Będzie o czym pogadać w czasie tych niezręcznych przerw w rozmowie. Powiedz mi pan, Halvorsen, jak Lucy sobie radzi? Czy uważa pan, że te jej zajęcia mają jakiś sens?

- Austin - zaprotestowała - nie bądź tak brutalnie szczerzy. Przecież to była tylko jedna lekcja.

- Jeszcze nie potrafi rysować - odpowiedział Roald ostrożnie. - Rzecz polega na koordynacji, a to wymaga tysięcy godzin praktyki, treningu, wspólnej pracy ręki i oka aż do chwili, gdy jesteśmy w stanie nakreślić linię na papierze w miejscu, w którym chcemy, żeby była. Jeżeli istotnie pani się tym interesuje, Lucy, to z pewnością nauczy się pani dobrze rysować. Inni uczniowie - nie, nie sądę.

Chodzi na zajęcia tylko dlatego, że się nudzi, albo ze snobizmu i przerywają, zanim zdobędzie niezbędną koordynację ręki i oka.

- Interesuję się - powiedziała zdecydowanym tonem.

Opanowanie Malona'a zniknęło. - Cholernie się interesuje, ale... - Wziął się w garść i znów zwrócił się do Halvorsena. - Rozumiem, co pan miał na myśli mówiąc o koordynacji. Ale tracić tysiące godzin, kiedy można kupić aparat fotograficzny? To przecież nonsens.

- Mówiłem o rysowaniu, ale nie o sztuce - odparł Halvorsen. - Powiedziałem, że rysowanie jest umiejętnością postawienia kreski w tym miejscu, w którym chcemy, by się znalazła. - Nabrał głęboko powietrza do płuc, w nadziei, że wielka różnica nie zabrzmi śmiesznie i trywialnie. - Powiedzmy, że sztuka jest wiedzieć, jak nakreślić tę linię we właściwym miejscu.

- Niechże pan spojrzy no to rozsądnie. Nie ma żadnej sztuki. Już nie ma. Podróżowałem trochę i nigdzie nie widziałem nic poza fotografiami i SPG. W jakimś drobnym stopniu jej dziedzictwo - owszem, ale nikt już więcej nie maluje i nie rzeźbi.

- Sztuka jest, panie Malone. Paru moich uczniów w klasie martwej natury jest zupełnie dobrych. A w całym kraju znajdzie pan ich więcej. Sztuka może być terapią zajęciową, hobby, może pomóc, jeżeli ktoś nie wie, co zrobić z rękoma. Istnieje obrót dziełami sztuki. Sprzedają je sobie nawzajem, ofiarują je sobie nawzajem, wieszają je u siebie na ścianach. Jest nawet kilku rzeźbiarzy. Rzeźbienie zalecane jest przez lekarzy. Terapeuci stwierdzają, że to nawet lepszy sposób niż rysunek lub malowanie i dlatego wiele osób pracuje w plastelinie albo w miękkim kamieniu. Paru jest nawet niezłych.

- Być może.. Jestem inżynierem, Halvorsen. Naszym punktem honoru jest czynić pracę łatwą i lekką. To właśnie pozwoliło mi dolecieć na Marsa i Wenus, to również pozwoli mi dolecieć na Ganimeda. Pan pracuje ciężko i dla pańskiej wydajności nie ma miejsca we współczesnym świecie. Proszę na siebie spojrzeć! Stracił pan koniec palca, przypuszczam, że był to jakiś wypadek?

- Nie zauważyłam... - powiedziała Lucy i krzyknęła cicho. - Och!

Halvorsen podkurczył środkowy palec lewej ręki. Zawsze tak robił, by ukryć brak pierwszego członu.

- Wypadki świadczą o niedoskonałości opanowania materiału i narzędzi - stwierdził Malone pouczającym tonem. - Dopóki będzie pan stosował swoje metody, a ja swoje, nie będzie pan w stanie ze mną rywalizować.

Sposób, w jaki to powiedział, świadczył wyraźnie, że ma na myśli nie tylko pracę.

- Możemy już iść, Lucy? Oto moja wizytówka, panie Halvorsen. Niech mi pan dostarczy te delfiny, a ja prześlę panu czek.

Następnego dnia Roald poszedł parę przecznic dalej, do domu Krehbeila. Został staruszka w piwnicy, w warsztacie. Pochylał się nad stołem, nad głową świeciła mu mocno lampa. Próbował naostrzyć piłę.

- Panie Krehbeill - Halvorsen musiał podnieść głos, by przekrzyczeć zgrzyt metalu.

Ciepła odwrócił się i spojrzał zażawionymi oczyma. - Nie widzę już tak dobrze jak kiedyś - powiedział zrzędlwym tonem. - Dwa razy ostrzę ten sam zęb tej cholernej piły, opuszczam zęby, nie widzę dokładnie szlifu na już wyostrzonym. Odblask mnie oślepia. - Z rozdrażnieniem rzucił trzymany w ręku trójgraniasty pilnik. - No, dobrze, czym mogę służyć?

- Potrzebuję materiału do pakowania. Cokolwiek. W zamian za to dam panu te klonowe listwy cztery na cztery.

- I naostrzy mi pan piłę? - na twarzy starego pojawił się chytry wyraz. - To znaczy, moje piły. Co to dla pana - godzina roboty. Ma pan młode oczy.

- Dobrze - zgodził się Halvorsen z goryczą. Stary musiał postawić na swoim, nawet gdyby już nigdy nie miał wziąć do ręki tych swoich pił. Szybko jednak odpędził to uczucie. Zamiast tego, szybko podziękował Bogu, że jego własne problemy z przystosowaniem się nie czyniły zeń takiego zrzędy, jak Krehbeil.

Cieřła był zadowolony, gdy przejrzeni jego zapas drewna i wybrali deski do opakowania pŁaskorzełby z delfinami. Był tak uszczęřliwiony, że, zanim Halvorsen zabrał się do ostrzenia, zaproponował mu kawę z ciastem.

Roald, siedząc przy stole, próbował wysondować starego.

- Zastój w interesach; co? Ale w tej sytuacji, trudno było popsuć Krehbeilowi humor. - Ludzie zawsze byli głupi. Nie znali się na dobrej, ręcznej robocie. Któregoś dnia - oznajmił proroczym tonem - uřmieję się do rozpuku, jak te ich głupie domy z maszyny, przy silniejszym wietrze, wszystkie i wszędzie, zaczną się przewracać. Nawet mój chłopak, a lałem go dobrze, prawie codziennie, obsługuje jakiejś idiotycznej maszyny do betonowania i jego dom też powinien zlecieć mu na głowę, jak wszystkim innym.

Halvorsen wiedział, że syn utrzymywał Krehbeila przysyłając mu pieniądze pocztą i zmienił temat.

- Ma pan jakieś meblarskie roboty?

- Głupie baby! Co one nazywają antykami? - nie wiedzą co to Miřnia, co to biedermeier. Czasem przynoszą mi jakieś řmiecie do naprawy i wtedy każę im słono pŁacić. Dobrze je nacięgam!

- Zastanawiam się, czy gdyby coś zostało w Europie, to czy sprawy nie wygłıdałyby inaczej?

- Ludzie zawsze będą głupi - oznajmił cieřła z przekonaniem. - Czy nie miał mi pan naostrzyć dzię tych pił?

Tak więc Halvorsen spędził dwie pełne hałasu godziny, zanim mógł zanieść do pracowni swoje deski.

W domu czekała już Lucy. Przyniosła trochę rzeczy do jedzenia. Rzucił z łoskotem drewno na podłogę i zapytał. - Cemu nie jest pani w pracy?

- Mam wolne - odpowiedziała wymijając. - Austin wpadł na pomysł, że bym przyniosła panu pieniądze za tę terakotę.

Wyciągnęła kopertę, a on patrzył na dziewczynę w milczeniu. Znow zaczynała się ta farsa. Ale tym razem lękał się jej.

Nie po raz pierwszy samotna, rozgorączcona dziewczyna upatrzyła go sobie, uznając, że jest czymś w rodzaju romantycznego buntownika i zagubionego szczeniaka w jednej osobie. Konsekwencje nietrudno przewidzieć.

Wiedział z księzek, rozmów z Labuerrem i własnego dořwiadczenia, że dawniej komedia to nie była czymś osobliwym, że byli nawet artyřci, wielu artystów, którzy stale ją powtarzając, czynili sobie z tej gry Źródło utrzymania.

Dziewczyna wpada z czymś do zjedzenia i artysta jest mile zaskoczony; dziewczyna podziwia to czy owo w dniu swej wypłaty, kupuje i artysta jest mile zaskoczony; dziewczyna przyprowadza swoich znajomych, by brali lekcje lub kupili coś, i artysta jest mile zaskoczony. Dziewczyna może zostać uwiedziona przez artystę lub vice versa i to kończy grę. Czasem się pobierają i to nieco komedię przedłuża.

Halvorsen ostatni raz grał w tej farsie trzy lata temu razem i depresyjnomaniakalną rozwódką z Elmiry. Trzy lata, w czasie których skończył trzydzieřci pięć lat, dodatkowe trzy lata przytłaczające go řwiadomością, że jest kimś niepożądany, że pracuje zbyt dużo, a je zbyt mało.

Zdawał sobie sprawę, że kocha tę dziewczynę.

Wziął kopertę, przeliczył trzysta szeřćdziesiąt dolarów i wetknął je do kieszeni.

- To był pani pomysł - powiedział. - Dziękuję. A teraz proszę sobie iść, dobrze? Mam pilną pracę.

Stała, wstrząśnięta.

- Prosiłem, żeby pani sobie poszła! Mam pilną pracę!

- Austin miał rację - oznajmiła przygnębionym głosem. - Pana wcale nie obchodzi, co czują inni. Pan po prostu chce ich wykorzystać.

Wybiegła, a Halvorsen musiał wyteżyć całą siłę woli, by nie pobiec za nią.

Wszedł do pracowni i przyjrzał się uważnie swemu zestawowi narzędzi, nie zwracając uwagi na już wykończone egzemplarze. Jakże przyjemnie byłoby wydać

prawie połowę pieniędzy na pręty ze stali martenowskiej, z których mógłby zrobić dłuta. Miał wrażenie, że wie, gdzie mógłby te pręty dostać... Ale przecież mogła znowu tu przyjść, albo on mógł się załamać, pójść do niej, uzyskać przebaczenie - i komedia mimo wszystko zaczęłaby się od nowa.

Nie mógł do tego dopuścić

Aalesund, po atlantyckiej stronie pasma górskiego Dourfeld w Norwegii, był po zawietrznej spopielonego kontynentu. Jeden archeolog więcej nie robił różnicy dopóty, dopóki miał na tyle zdrowego rozsądku, by rozpoznać podobne do trójlistnej koniczyny znaki "Niebezpieczeństwo! Promieniowanie!" i wiedział tyle, co przeciętny uczeń o odzieży ochronnej oraz dokonywaniu odczytu z osobistego licznika Geigera.

Halvorsen wynajął samochód przeznaczony dla tych, którzy chcieli wyprawić się przez góry, by zbadać zatrute Oslo. Dobrze zabezpieczony mógł w ciągu dwunastu godzin dojechać bezpiecznie tam i z powrotem.

Ale on minął Oslo, Wennersborg i Goeteborg, pojechał wzdłuż Kattegatu do Helsingborgu i tam porzucił samochód wśród trójlistnych znaków; następnie przeprowił się do Danii. Duńczycy w niczym nie przypominali Prusaków, mieli jednak to nieszczęście, że ich nieszczęsny, mały półwysep wystawał z kawałka Niemiec. Dla pyłu radioaktywnego był to szczególnie bez znaczenia, trójlistne znaki wyraźnie o tym świadczyły.

Świadom, że ma przed sobą długą drogę po pokrytej gruzem autostradzie, zdjął impregnowany kombinezon i buty ochronne. Już dawno wyrzucił hałaśliwy licznik oraz niewygodne rękawice i maskę.

Było straszliwie cicho, gdy kuśtykając w samo południe wszedł do Kopenhagi. Nie wiedział, czy promieniowanie zabija go, ani czy jest jeszcze zmęczony i głodny. Myślał o sobie jak o kimś zupełnie obcym i sprawiało mu to przyjemność.

Będę swą własną publicznością - myślał. - Bóg mi świadkiem, dowiedziałem się, że nie ma innej, już nie ma. Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć. Rodin, ten staruch, wspaniały staruch, wiedział to. Nauczył nas, byśmy nie polerowali rzeźby. nie wyglądali jej, aż do momentu, w którym będzie wyglądała jak płyn, a nie brzyź czy kamień. Van Gogh był zupełnie zwiariowany, ale wiedział kiedy przestać i zawerniksować obraz. Nie dbał o to, że farba wygląda jak farba, a nie jak chmury o zachodzie słońca czy promień księżycy. Hatford, Browne i Sharpe kiedy zrobili swoją tokarkę rewolwerowca, poprzestali na tym. Nie ozdabiali jej kariatydami. Ja zaś skończę wszystko wtedy, kiedy moje życie jest jeszcze życiem, zanim nie przyozdobi mnie tak rozprasającym uwagę dodatkami jak żona, która w końcu zacznie mnie pogardzać, albo kolejnymi, stopniowo coraz mniej wartościowymi dziełami, na które nikt nie spojrzy.

Proszę nikogo nie winić - pomyślał beztrzesko.

I nagle wśród chwastów i gruzów zobaczył zamykającą jego drogę - Fontannę Orfeusza, dzieło Millesa.

- To mógł zrobić tylko człowiek - pomyślał. Obwody estetikonu nie mogłyby stworzyć czegoś takiego. Było tu zbyt wielkie pomieszanie stylów, świadoma skaza, na której estetikon nie dałby się ustawić. Orfeusz i dusze były klasycystyczne, lub półniejsze, trzygłowy pies był klasyczny. Miało to ukazać, jak starożytne i niepokonane jest Piekło, że Cerber wie, iż Orfeusz nigdy nie wróci ze swą ukochaną do świata żywych.

W centralnej postaci był heroizm i tragizm, wyglądała potężnie, jakby stworzona do walki przeciw bogom. Nie sposób jednak było walczyć ze szczerzącym zęby jak w uśmiechu, wszystkowiedzącym, nienawistnym, trzygłowym psem. Nie można przecież walczyć z chodnikiem, po którym się idzie, czy z podłogą domu, w którym się znajdujemy. Więc Orfeusz z twarzą pełną hamowanego cierpienia i pasji wydobywał ze swej liry potężny akord, który porusza kamienie i drzewa. Wokół niego nagie dusze w Piekło zrywają się z miejsca, słysząc ten akord: młodzi kochankowie pogrążeni w śmierci; matka pogrążona w śmierci; pogrążony w śmierci muzyk - głuchy, lecz wytężający słuch.

Halvorsen szedł niepewnym krokiem w stronę fontanny i nagle poczuł, jak coś w

nim pęka i jakiś ciężar wypełnia mu płuca: Gdy padał na twarz, między chwasty, nie dbał już o to, że trójgłowy pies patrzy nań z góry i szczyrzy swe zęby we wszytkowiedzącym, nienawistnym uśmiechu. Halvorsen usłyszał akord lutni.